

Rozmyślania



Znowu starsi... o rok

Początek roku skłania mnie zawsze do refleksji i do wspomniania tego, co było istotne dla mnie w roku poprzednim.

Muszę przyznać, że zbierało się trochę tego. A przecież nie chodzi o same wyjazdy na literackie festiwale, imprezy, spotkania autorskie czy jurorowanie w konkursach.

Dla mnie przede wszystkim był to rok wielu odejść. Zmarła moja babcia – Anastazja – cudowna kobieta. Zmarł tragicznie Wojtek Siemion, zmarł Staszek Gola, prof. Bazyl Białokozowicz, który tyle lat pisał z takim zacięciem do „Gazety Kulturalnej”... A w grudniu odszedł Zbyszek Jerzyna... Ale były i momenty dobre, takie, które na długo zapadają w ludzką pamięć...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Byłem na Warszawskiej Jesieni Poezji. Nie pamiętam, który to już z kolei raz uczestniczę w tym festiwalu poezji. Lubię tam jeździć, bo mam wtedy możliwość chodzenia w moje ulubione miejsca... Chociaż spotkania z przyjaciółmi to najważniejsze wydarzenia festiwalu, uczestniczyłem w wielu ciekawych przedsięwzięciach kulturalnych: jubileuszu „Miesięcznika”, pisma Marii i Ryska Ulickich, promocji dobrego tomu poezji Don Vasyła i żywiołowego występu jego zespołu cygańskiego, wieczornej poezji słowiańskiej w Ośrodku Kultury i Nauki Rosyjskiej, gdzie czytaliśmy swoje wiersze. A przecież był jeszcze wieczór poezji chińskiej i wycieczka do odnowionej Żelazowej Woli i do Stawiska – Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów.

Miejsce urodzenia naszego największego kompozytora zostało odnowione rewelacyjnie, szczególnie park nabrał nowych barw. Jest pięknie skomponowany i stał się przez to bardziej przestronny. Sam budynek, obrośniętym bluszczami, wygląda pięknie w jesiennych barwach, ale za to w środku chłód i pustka. Praktycznie nie ma tam nic, co warto zobaczyć. Jeden współczesny fortepian, kilka obrazów i jakieś nowoczesne, szklane witryny. Żadnego ducha... żadnych emocji. Wszystko dla zagranicznego turysty.

Inaczej wygląda Stawisko. Chociaż budynek jest remontowany, to nawet w takiej scenerii czuć ducha Iwaszkiewiczów. Przecież przez te wszystkie pokoje, przewinęło się przecież tylu znakomitych gości. Przed wojną bawili tu: Jan Lechoń, Antoni Słonimski czy Karol Szymanowski, a po wojnie odwiedzali Stawisko, m. in.: Czesław Miłosz, Jerzy Andrzejewski, czy królowa belgijska Elżbieta. Miejsce to jest magiczne, tak jak magiczna i wielka jest twórczość Jarosława Iwaszkiewicza...

A wieczorami, wspaniale, długie posady literackie i rozmowy z Andrzejem Waśkiewiczem, Kazikiem Burnetem i Waldkiem Michalskim. I wszystko to jakby od niechcenia, bez udawania i nadejścia. Z wiarą, że przecież ta nasza literatura nie jest taka zła... Żeby tylko można ją było trochę odpolitycznić i „odkoleżkować”...

A w listopadzie? Początek listopada, to Poznań. Wyjazdy na Międzynarodowy Listopad Poetycki stały się coroczną tradycją. Lubię tam jeździć, bo jest tam świetna atmosfera i... mam tam mnóstwo przyjaciół. To chyba najważniejszy z powodów eskapady do stolicy Wielkopolski. Poetyckie festiwale powoli umierają, a te, które jeszcze udaje się organizować, odbywają się tylko i wyłącznie dzięki wielkiemu poświęceniu organizatorów, w tym przypadku poznańskiemu oddziałowi ZLP. Tak się porobiło na tym świecie, że literatura z dnia na dzień staje się dziedziną nisową, coraz mniej ludzi ona w ogóle obchodzi. Nie jest prawdą, że coś drgnęło w czytelnictwie, że coraz więcej ludzi czyta książki. Badania wskazują na coś zupełnie innego. Społeczeństwo uboższe, a przez to coraz mniej pieniędzy przeznaczana na kulturę, w tym i na czytelnictwo. Nie ma instytucji, która w rzetelny sposób sprawdzałaby rynek książki i wybierała, np. w celu dalszej promocji, książki wartościowe. Patrząc na katalogi sieci księgarskich i różnych firm typu Klub Dla Ciebie, można by stwierdzić, że przecież nie jest aż tak źle, że przecież w Polsce ukazuje się podobno kilkanaście tysięcy tytułów rocznie. A więc jest z czego wybierać. W książkach popularnonaukowych i naukowych może i jest, ale nie w literaturze pięknej. Tu promuje się wyłącznie pozycje z poszczególnych „literackich dworów” i książki spoza „tajemnych kręgów wzajemnej adoracji” nie mają czego szukać, choćby byłby nie wiem jak bardzo genialne. Dlatego prym na rynku wydawniczym wiodą książki, które są w stanie zaspokoić finansowe gusta ich wydawców.

Od kilku lat jestem w jury Międzynarodowego Listopada Poetyckiego na książkę roku. W 2010 roku – z Dariuszem Lebiodą i Pawłem Kuszczynskim – przyznaliśmy ją jednogłośnie Andrzejowi Gnarowskiemu za tom wierszy pt. „Do końca...”. Poezja to uniwersalna i ponadczasowa, nawiązująca do najlepszych tradycji polskiego pisarstwa. Czy ma ona szansę przebić się do szerszego obiegu? Myślę, że nie, bo Gnarowski jest poetą niezwiązanym z żadną dużą gazetą, z żadnym „tajemnym kręgiem wzajemnej adoracji”. A przecież książka Gnarowskiego nie była jedyną godną uwagi. Tomy Jurkowskiego, Wawrzkiewicza, Fryckowskiego czy młodziutkiej poetki Anny Marii Musz (tu wskazuję własne typy) to książki o wiele lepsze niż te, rekomendowane w wielonakładowych pismach. Tom poetycki Musz, „Errata do trzech wymiarów”, to wręcz unikat na współczesnej, literackiej mapie Polski. Dziewczyna, mając 22 lata, wydała książkę, jakiej nigdy nie będą miały tzw. wielkie, promowane pisarki polskiej literatury... Dlaczego? To proste. Bo nie można mieć żadnej dobrej książki, kiedy wydaje się rocznie kilka książek. Albo kiedy uważa się, że jest się wielką poetką i wszystko, co się napisze musi być wielkie. To jest fałsz, złudzenie, iluzja tego, czego tak naprawdę nigdy nie było... Ale było

za to tzw. zaplecze prasowe i poparcie... Musz wspiera jej własny talent i skromność...

A listopad w Poznaniu był w tym roku nie tylko mokry, ale i bogaty w wiele wspaniałych spotkań. Seifu Gebru, Jurij Zaghorodnij, Vladan Stamenković, Lam Quang My, Jurek Fryckowski, Stefan Jurkowski, Marek Wawrzkievicz, Paweł Kuszczynski czy Zbyszek Gordziej – z nimi zawsze mam wspólny język, zawsze mamy o czym rozmawiać i nie mamy siebie dość. Może za rok znowu się nam uda spotkać w Poznaniu? Jeśli tylko staczą siły i pieniądze...

Po Poznaniu szykują się zawsze do Polanicy Zdroju. Uwielbiam tam jeździć, jak mało gdzie. Tam czuję się naprawdę dobrze. Pomimo, że to kurort, to o tej porze roku ludzi jak na przysłowie lekarstwo; nieliczni autochtoni snują się leniwie po sympatycznych uliczkach. Niestety, w tym roku Polanica była niemilosiernie rozkopana, a to z racji remontów (praktycznie wszystkiego), na które miasto otrzymało z Unii Europejskiej ogromne pieniądze. Widać tam dba się o rozwój miasteczka. Będzie ładniej i nowocześniejsze, będzie więcej turystów, a poprzez to więcej pieniędzy pozostanie w budżecie.

Jazda w Kotlinę Kłodzką nietatwa, bo pogoda była wyjątkowo paskudna. W Piotrkowie Trybunalskim zabrałem Marka Wawrzkiewicza i Elę Musiał, więc przynajmniej było z kim pogadać. Smutną drogę umilił nam pod Otmuchowem okoń nilowy, na który zatrzymaliśmy się w jakimś zajeździe...

Międzynarodowy Festiwal Poezji »Poeci bez granic« w Polanicy Zdroju, to impreza niezwykle rodzinna. Ojciec festiwalu i zarazem jego dusza, Andrzej Bartyński, stworzył coś na kształt rodzinnego zjazdu przyjaciół. Nigdzie się nie trzeba spieszyć, donikąd pędzić. Wszystko zapięte jest na ostatni guzik. Żadnych niedociągnięć. I tak jest każdego roku. Miałem więc czas i na to, aby pospacerować po miejscowości i wybrać się do Szczytnej, przez góry...

Ważne spotkania, dużo rozmów, dużo materiałów, nowe, ważne kontakty – tak moge scharakteryzować tegoroczny pobyt. A wieczory z Kazikiem Burnetem, Markiem Wawrzkieviczem, Zbyszkiem Gordziejem i Pawłem Kuszczynskim – upojone. Dosłownie...

Polanicki festiwal to impreza, o której się nie zapomina, bo jakże można nie pamiętać o czymś, co powoduje, że człowiek odzyskuje wiarę w drugiego człowieka. Tam nikt nikogo nie pyta o przynależność organizacyjną, o poglądy, o upodobania. Tam liczy się literatura, a w zasadzie miłość do niej. Jest to miejsce, gdzie każdy może odnaleźć cząstkę dla siebie... A poza tym jest rzecz najważniejsza. To atmosfera, którą buduje żona Andrzeja Bartyńskiego – Krzysia. To ona tak naprawdę jest tym *spiritus movens* polanickiego festiwalu, jego dusza i dbająca o wszystko cudowna muza Andrzeja...

A koniec roku. Również udany. Moje wiersze ukazały się w kilkunastu antologiach i zostały przetłumaczone na kolejne języki: rosyjski i węgierski. Dostałem książkę od mojego przyjaciela Gézy Csésby z Węgier, antologię polskiej poezji XX i XXI wieku pt. „A csend visszhangjai”. To wydawnictwo przeznaczone na tamtejszy rynek. Znalazłem się w gronie wyśmienitych poetów: Czesława Miłosza, ks. Jana Twardowskiego, Karola Wojtyły, Julii Hartwig, Tadeusza Różewicza, Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta, Adama Zagajewskiego, Józefa Barana, Bogdana Zadury, Tomasza Jastruna, Andrzeja Sosnowskiego. Łącznie w antologii znalazły się 44 nazwiska... A przecież w tym roku wiele moich wierszy zostało przetłumaczonych przez Ekaterinę Polianską na język rosyjski i ukazały się w Petersburgu...